

JANDA

dzieciom



Wydawało się, że już niczym nie jest w stanie nas zaskoczyć.

Zagrała wszystko, co może zagrać aktorka.

A jednak... Rolą dziesięcioletniej autystycznej dziewczynki chorej na raka nie tylko nas zaskoczyła, ale wręcz zaszokowała.

O tytułowej roli w spektaklu „Mała Steinberg” w Teatrze Studio, autyzmie, wychowaniu swoich synów i o tym, co dają jej kontakty z dziećmi, z **KRYSTYNĄ JANDĄ** rozmawia Alina Gutek.

– *Gwiazda, która „ma czerwone pazury”, zamiast bywać na bankietach, odwiedza ośrodek dla dzieci autystycznych, bierze udział w akcjach charytatywnych. Po co to pani?*

– Nic na świecie nie obchodzi mnie i nie wrzusza tak, jak dzieci. Jest w tym może jakaś patologia, fiksacja, ale myślę, że zdarza się ona wszystkim matkom, które późno urodziły dzieci. W dojrzałym macierzyństwie jest coś takiego, co każe myśleć o dzieciach w sposób zupełnie wyjątkowy. Ja przeżyłam powtórne macierzyństwo tuż przed czterdziestką. Krzywda dzieci zawsze mnie przejmowała. Tym bardziej dotyka teraz, kiedy jestem starsza i wiem już, na czym polega życie, jakie są jego prawdziwe blaski i cienie, jakie znaczenie mają wartości, a jaki wpływ na nasz los ma przypadek. I teraz świat dziecka, a zwłaszcza jego niezasłużone cierpienie, szalenie mnie porusza.

– *Nigdy pani nie odmawia, gdy ktoś prosi o pomoc?*

– Nie odmawiam, kiedy naprawdę mogę pomóc. W Polsce jest może 50 znanych osób z tak zwanymi nazwiskami, do których wszyscy zwracają się o wszystko. O pomoc dla zwierząt, staruszków, powodzian. I świetnie, tylko że nie jest możliwe pomóc każdemu. Wie pani, czym zajmuję się pod koniec roku? Produkuję fanty na loterię. To jest moje główne zajęcie, bo tak wiele odbywa się w tym czasie akcji charytatywnych. Najbliższe są mi dzieci. Robię więc wszystko, o co mnie proszą, żeby im pomóc.

– *Czy pani samej też to coś daje? Wiem, że bierze pani udział w wielu spotkaniach z dziećmi.*

– Ja po prostu lubię dzieci. Dziesięć razy bardziej wolę spotkania z dziećmi, choćby z takimi ze szkoły podstawowej, niż rozmowy z dorosłymi widzami.

– *W czasie wizyty w szkole Didasko robiła pani zdjęcia. Szuka pani w tych spotkaniach inspiracji?*

– Fotografowałam dzieci, bo staram się zarejestrować ważne chwile. Bawi mnie to. Niektóre z tych zdjęć zamieszczam potem na mojej stronie internetowej, na której codziennie pisuję coś w rodzaju dziennika (Adres: www.krystynajanda.com – przyp. A.G.) Rozmów z dziećmi zawsze jestem bardzo ciekawa. Te z dorosłymi widzami są dla mnie jakby zbyt konwencjonalne – na ogół z góry mogę przewidzieć pytania, które w dodatku nie bardzo mnie interesują i często nie dotyczą.

– *Co sprawiło, że postanowiła pani wystawić „Małą Steinberg”?*

– Tych powodów jest wiele i właściwie każdy z nich byłby dobry, żeby się nim zająć. W ciągu 25 lat pracy zagrałam już naprawdę dużo. Takie zwykłe zadania aktorskie zwyczajnie mnie nudzą, bo nie ustawiają na baczność. Reżyserzy powielają schematy, brakuje im odwagi, żeby burzyć stereotypy. Znając konstelację osób, miejsca, tekstu, w pięćdziesięciu procentach przypadków mogę przewidzieć, jaki będzie rezultat. A ja szukam czegoś, co wszystkich – i widzów, i mnie samą – zelektryzuje. „Mała Steinberg” jest właśnie tego rodzaju wyzwaniem: odważnym i ryzykownym.

– *Ale najważniejsze było chyba to, żeby pomóc dzieciom cierpiącym na autyzm?*

– Widzi pani, ja od jakiegoś czasu szukam roli, która by przekraczała obowiązki teatralne. To znaczy – która by mnie interesowała i jako człowieka, i jako aktorkę. Pomyślałam: po co mam grać jakąś kolejną rolę, jedną z wielu, skoro mogę zrobić monodram i jeżeli mi się uda – a nawet jak się nie uda – to słowo autyzm padnie przy okazji wiele razy, i tym samym dotrze do tych, do których powinno trafić – do rodziców i lekarzy. Wiedza na temat tej choroby w dalszym ciągu jest w naszym społeczeństwie za mała. To mój taki jakby pozazawodowy obowiązek – opowiedzieć się za tymi, którzy potrzebują pomocy. Wiem, że

**Dla synów:
Adama i Jędrka
cztery lata temu
nauczyła się
jeździć na
nartach.**



dzieci chore na autyzm potrzebują takiej pomocy, i to niemałej. A grając o autyzmie, dołączam się do tej pomocy w sposób dla mnie najprostszy i mi najbliższy.

– *Skąd pani wie tyle o autyzmie?*

– Od siedmiu lat współpracuję z Fundacją Synapsis, zajmującą się tym problemem. W Polsce żyje wiele dzieci z nierozpoznanym autyzmem. Lekarze pierwszego kontaktu nie zawsze prawidłowo diagnozują dzieci z objawami tej choroby. Do niedawna uznawano je za upośledzone umysłowo i zamykano w szpitalach psychiatrycznych. Dopiero teraz wiemy, że one czasem dużo więcej i głębiej czują niż my. Mają tylko zaburzony kontakt ze światem, z jakichś nieznanых powodów boją się go i rozumieją inaczej niż my. Cały ich dramat polega na tym, że pozostawione same sobie, tkwią na tym samym etapie rozwoju. A czasem potrzeba tak niewiele – dotyk, słowo – żeby zrobiły krok w stronę naszego świata, w naszą stronę. Matki opowiadają mi, że nieraz wystarczy wsiąść z dzieckiem do autobusu,

żeby przestało się go bać. Jeżeli poddamy dziecko terapii – dobranej indywidualnie dla każdego – jeżeli będziemy prawidłowo je stymulować, na efekty nie trzeba będzie długo czekać. Istnieje wiele przykładów na to, że dzieci autystyczne świetnie się rozwijają, co więcej – że ujawniają nadzwyczajne talenty. Nie potrafią czasem wykonywać prostych czynności, a osiągają w jakiejś dziedzinie niebывałe sukcesy.

– Mówi pani jak ekspert w dziedzinie autyzmu.

– W Synapsis spotkałam grupę wspaniałych lekarzy, psychologów, terapeutów, rodziców. Oddanych, bezinteresownych, dobrych, naprawdę nadzwyczajnych ludzi. Nie siedzą w domu i nie użalają się nad sobą, ale dużo robią. Stworzyli w Warszawie ośrodek terapeutyczny dla dzieci autystycznych, sami go wybudowali ze społecznych pieniędzy, a teraz nie tylko

liwe. Tę sztukę – wyemitowaną wcześniej w Anglii jako słuchowisko radiowe – grała przecież wybitna angielska aktorka, starsza ode mnie, Katrin Hupbern. Wsiadłam w samolot i poleciałam do Londynu obejrzeć jej monodram. Przekonałam się, że jest w tym pomysłe fantastyczna idea. Bo oto można wykorzystać tę wielką maszynę, jaką jest teatr, przeznaczyć cały wieczór, użyć wszystkich umiejętności aktorskich – niejako położyć na scenie siebie – w jakiejś ważnej sprawie. I to wydało mi się fascynujące. A uroda tego pomysłu polega jeszcze na tym, że teatr jest pewnie dziś ostatnim medium, w którym aktorka w moim wieku może zagrać dziecko. To tu jest ta wspaniała magia. Ten czar niemożliwy do zrealizowania nigdzie indziej.

– Jak przygotowywała się pani do tej roli? Inaczej niż do innych ról?

– Zwykle pracuję nad rolą dwa miesiące, wcześniej przygotowuję się do niej około dwóch lat – czytam książki na ten temat, oglądam filmy, zbieram materiały. Kiedy zaczęłam interesować się autyzmem, trafiłam na angielski film dokumentalny „Historia małego Tito”, który pokazuje niezwykle uzdolnionego literacko dwunastoletniego chłopca i jego matkę, mieszkających w Indiach. Wzorowałam się na nich w pracy nad rolą małej Steinberg. Ale odwiedzałam też warszawski ośrodek Synapsis. Rozmawiałam z dziećmi, obserwowałam ich reakcje. Zaprzyjaźniłam się z 17-letnią Ireną. Proszę sobie wyobrazić, że przed pójściem na premierę do teatru po raz pierwszy od roku umyła głowę! Dla mnie!

– Kurtyna po tym spektaklu nie opada. Siada pani na scenie i rozmawia z widzami. Skąd ten pomysł?

– Podobne spotkanie widziałam po londyńskim przedstawieniu. To, że potrzebne jest także po moim, przyszło mi do głowy, kiedy obserwowałam widzów. Czułam, że są wśród nich tacy, którzy chcieliby mi zadać przynajmniej dwa pytania. I nie myliłam się. Po każdym przedstawieniu zostaje sporo osób, którzy chcą się czegoś dowiedzieć na temat tej choroby, którzy pytają o wolontariat. Zdarza się, że panie zdejmują pierścionki z brylantami i ofiarowują je na rzecz dzieci dotkniętych autyzmem. Fundacja przygotowuje mi „towarzystwo” do tych rozmów, co wieczór inne: psychologów, lekarzy, rodziców i dzieci. Byłam pomysłodawczynią tych spotkań, ale bardzo się ich obawiałam, bo w Polsce to absolutny ekspe-

ryment. Okazało się jednak, że ludzie potrzebują takich rozmów i że potrafią na ten temat interesująco mówić i myśleć.

– Obcowanie z takim ogromem nie-szczęścia na scenie jest pewnie bardzo wyczerpujące. Daje też jakąś radość?

– Od kiedy zaczęłam spotykać się z dziećmi autystycznymi, wracałam do domu i dziękowałam Bogu, że mam dwóch zdrowych chłopców. Co oczywiście wcale nie jest moją zasługą. Równie dobrze mogliby być chorzy, bo przyczyny autyzmu nie są do końca znane. Do niedawna mówiło się, że jest to choroba inteligencji, ale wie pani dlaczego? Bo na badania zgłaszali swoje dzieci rodzice wykształceni.

– Czy pani zawsze gra „po coś”?

– Ja zawsze miałam społeczne zacięcie. Od początku, czyli od „Człowieka z marmuru”, nie grałam ról, ale robiłam coś, co było ważne. „Mała Steinberg” moim zdaniem też jest czymś ważnym. Jeżeli rola nie zawiera takiego elementu, to w ogóle nie chce mi się jej grać.

– Zdaje sobie pani sprawę z tego, że taki stosunek do pracy nie jest powszechny w tym zawodzie?

– Tak, mówią, że jestem „niekonwencjonalna”, choć myślę, że nie z tego powodu. Ale przynajmniej osiemdziesiąt procent ludzi, którzy ze mną pracują i mnie oglądają, reaguje inaczej niż ja, spokojniej, łagodniej, ciszej. Ja stawiam wszystko na ostrzu noża, a większość ludzi tak się nie zachowuje. Ale taka jestem tylko w pracy. W życiu prywatnym cenię „konwencjonalność”. Staram się zapewnić dzieciom absolutną regularność i przewidywalność zdarzeń. Lubię takie mieszczańskie życie – wspólne śniadania, obiady, kolacje. Bez stresów, niespodzianek, niepotrzebnego chaosu. Natomiast moje zawodowe obowiązki nie muszą oznaczać bezpieczeństwa, czyli powielania schematów, odcinania kuponów od tego, co już zrobiłam. Co nie znaczy, że jestem aktorką awangardową. Awangarda w ogóle mnie nie interesuje, ponieważ stawia na egoizm artysty, a ja, w tym sensie, nie jestem egoistką.

– Zastanawiała się pani: dlaczego taka jestem – tak reaguję, mam taki stosunek do pracy? To kwestia wychowania?

– Myślę, że taka się już urodziłam. Moja mama jest najskromniejszą, najbardziej pastelową osobą, jaką znam. Uwielbiam ją za to. Rodzice byli bardzo zajęci, studiowali, gdy ja i moja siostra byłśmy już na świecie.

– Traktuję świat z naiwnością i otwartością. Uważam, że życie jest fantastyczne, że to, co robię – także moja zwykła codzienność – ma sens.

niosą pomoc dzieciom, ale także szkołą lekarzy i terapeutów z całego kraju. Dla nich praca w Fundacji jest sensem życia. To od nich wiele się nauczyłam. Jestem szczęśliwa, że ich poznałam, bo przypominają mi, że świat może być też dobry i piękny.

– Zachęcali panią do wystawienia tej sztuki?

– Bardzo mi w tym pomogli. Wyprodukowali ją razem z Teatrem Studio, gdzie też znalazłam przyjaznych sprawię ludzi. Okazało się, że temat uruchomił całą grupę osób, które zaangażowały się w to przedsięwzięcie.

– A pani sama nie miała żadnych wątpliwości? Zagrać dziecko chore na autyzm, czyli pokazać kogoś, kto nie potrafi kontaktować się ze światem – czy to nie karkołomne zadanie?

– Co do tego, że sztuka jest potrzebna, nie miałam żadnych wątpliwości. Moje obawy dotyczyły czegoś innego. Po wielu rozmowach z dziećmi autystycznymi i ich rodzicami, po wielu godzinach obserwacji ich zachowań zrozumiałam, że porywam się na coś, co przekracza możliwości i kompetencje aktorki. Ale mimo to uznałam, że warto. Przekonałam się też, że jest to moż-

Tak jak większość dzieci, wychowywałyśmy się prawie „same”, a raczej samodzielnie. Zająć dodatkową, wymyślaną przez mamę z lęku, że sama nie może się zająć ani mną, ani siostrą, i biblioteka, obok której mieszkałam, to byli moi wychowawcy. Dość wcześnie byłam odpowiedzialna za to, co robię. Przeczytałam w dzieciństwie naprawdę dużo książek. Szkołą życia była więc dla mnie i ta samodzielność, i galeria postaci, jaka powstała w głowie po przeczytaniu książek, i spotkania z ludźmi, bo każda napotkana osoba kieruje nasze życie w jakąś stronę.

– **Ma pani jakiś wychowawczy program?**

– Myślę, że teraz jestem mądrzejszą matką niż byłam wtedy, gdy urodziła się Marysia. Kiedy przywiozłam ją ze szpitala, czekał na nią osobny, wietrzony regularnie pokój, bez przedmiotów, na których gromadzi się kurz. O zwierzętach nie było mowy. Nie ule-

nnych ludzi. Dzieci to wszystko widzą i wyciągają wnioski. Chłopcy doskonale wiedzą, na co sobie mogą pozwolić, którego dnia i o której godzinie. Szybko to pojęli. A ja pozwołam im traktować się trochę tak, jak traktuje się enfant terrible.

– **Kiedy pani wychowuje synów? Przytylu obowiązkach zawodowych jest chyba pani gościem w domu?**

– Rzeczywiście często nie ma mnie w domu. Wychowuję w niedzielę i co rano. Przez resztę czasu czuwają nad nimi: moja mama, ciocia, siostra. No i mąż, który poświęca im o wiele więcej czasu niż ja, bo w przerwach między zdjęciami do filmów jest w domu właściwie cały dzień.

– **Nie towarzyszy pani poczucie winy, że powinna być z dziećmi, a nie jest?**

– Nie. I jestem pewna, że to nie polega na ilości czasu, a na jakości tych kontaktów z nimi. Ale to nie jest tak, że ja żyję jakimś

może być piękne. Ale gdybym ja zajmowała się tylko domem i dziećmi, pewnie mniej bym im dawała, niż daję teraz, gdy jestem aktywna zawodowo. Pracując tak dużo, z sukcesem, jestem dla nich lepszym, bardziej interesującym partnerem.

– **Mówi pani o wszystkim w taki sposób, w jaki mówią dzieci – emocjonalnie, szczerze, bez autokreacji. Czy świadomie pielęgnuje pani w sobie to, co psychologia nazywa wewnętrznym dzieckiem?**

– Myślę, że ja go nigdy nie zgubiłam. Traktuję świat z naiwnością i otwartością. Uważam, że życie jest fantastyczne, że to, co robię – także moja zwykła codzienność – ma sens. Podchodzę do wszystkiego z optymizmem i wiarą, zarówno w siłę rozumu, rozsądku, jak i uczuć, emocji. Cały czas wierzę, że choćby nie wiem, co się stało, dobro i tak zwycięży. Żeby tak myśleć, rzeczywiście trzeba chyba być dzieckiem.



Tylko w teatrze jest to możliwe – Krystyna Janda w roli dziesięcioletniej dziewczynki chorej na autyzm.



Z wiceprezesem Fundacji Synapsis – Bożeną Ulatowską i dyrektorem artystycznym Teatru Studio – Zbigniewem Brzozą.

gałam jej płaczom i karmiłam o ściśle określonych porach. Syn spał już w łóżeczku obok mnie, karmiłam go wtedy, kiedy tylko sobie tego zażyczył, nosiłam na rękach i byłam szczęśliwa, że wreszcie mogłam się wyzwolić spod tej głupiej presji, która zabraniała być wolnym i służyć dziecku sobą, kiedy tylko ono tego potrzebuje. A drugi syn to już prawie w ogóle nie używał swojego łóżeczka. Spał ze mną i mężem, a ja byłam najszczęśliwszą matką na świecie. Robiłam dokładnie to, co jemu i mnie się zachciało. Teraz chłopcy są już dumni. Wiem, jak ważna jest w wychowaniu konsekwencja. Trzeba kochać, okazywać miłość, ale też wymagać. Ale tak naprawdę najbardziej naturalną metodą wychowania jest przykład rodziców. To, jak my sami żyjemy, pracujemy, kochamy, jak odnosimy się do in-

osobnym życiem. Kiedy jestem w domu, zajmuję się przede wszystkim dziećmi. Codziennie rano, bez względu na to, o jakiej porze kładę się spać, siadam z całą rodziną do śniadania. Rozmawiamy przy stole o tym, czym ja żyję, czyli o premierach, Szekspirze, książkach, ale i o tym, co ich dotyczy, czyli o szkole, grach komputerowych, kolegach. Dla nich cztery lata temu nauczyłam się jeździć na nartach, co przy mojej pracy i w moim wieku było czystym szaleństwem. Zaimponowałam im, ale teraz już nie mam na stoku towarzystwa, bo oni wybierają trudniejsze trasy. Pocieszam się, że niedługo będę jeździć na nartach z wnuczką Leną.

– **Wyobraża sobie pani, że kobieta realizuje się tylko poprzez macierzyństwo?**

– Oczywiście, że tak. Myślę, że z wychowania można uczynić jedyny cel życia. I to

Ale nie boję się posądzeń o infantylizm, bo taki stosunek do życia nie jest infantylny. Wydaje mi się, że ja żyję naprawdę, a nie tylko przeczekuję życie.

– **A może po prostu jest pani szczęściarą?**

– Może. Rzeczywiście, jak dotąd nic złego mnie nie spotkało. Wszystkie moje drogi życiowe – i jako człowieka, i kobiety, i jako aktorki – są drogami szczęśliwymi. Tragedie przeżywam na scenie. Właściwie całe moje zawodowe życie znaczone jest dramatami postaci, którymi staję się, gdy je gram. Przysięgam, nie oszczędzam się wtedy. Ale prywatnie właściwie nigdy nie przeżyłam większej porażki. Nawet pierwsze małżeństwo nie było dla mnie klęską. Może więc istotnie jestem szczęściarą. Ale wydaje mi się, że ja na to szczęście też pracuję. ○